

# COŚ SIĘ SKOŃCZYŁO

*Ach, dzień w którym mogłem wreszcie  
Przeprowadzić się, wejść do pociągu, patrzeć przez okno  
jak wszystko cofa się, rozpada się na kawałki,  
nie wiem czy widziałeś kiedykolwiek jak krajobraz łamie się  
gdy patrzysz nań, jak niknie w oddali.*

(Julio Cortázar. *Prześladowca*)

Dla Jon Kepy  
*Mokry śnieg  
Twoje spojrzenie*

ZA SPRAWĄ nowych projektów dotyczących rozbudowy kolei, pociąg przywiózł do Izurkiz w latach dwudziestych wielu ludzi – prawie tyle samo, ile wywiózł przed i po wojnie. Niektórych wywiózł na krótko, innych na zawsze, tak jak miało to miejsce w przypadku księdza Don Mariano, przybyłego z północy.

Zresztą nie tylko jego.

Julian przyjechał do miasteczka z rodziną tuż na początku wojny domowej. Nie szukali pracy, o którą było coraz trudniej ze względu na niepewną sytuację, ale raczej schronienia przed spowodowanymi wojną nieszczęściami i ludzką nienawiścią. Zapytali o księdza i usłyszeli, że w miasteczku jeszcze żaden się nie pojawił – ale wkrótce mieli kogoś przysłać. Za późno było jednak, żeby ponownie spakować rzeczy i tak jak stali, wyjechać z tego, niebezpiecznego ich zdaniem, miejsca. O tym, żeby zakończyć dotychczasową podróż w Izurkiz zdecydowało pewnie bardziej całotygodniowe zmęczenie tułaczką, niż wspomnienie o brutalnie zamordowanym członku rodziny.

Przyjechali z południa, podobnie jak śmierć w tamtym wojennym czasie. Początek tym krwawym, krótkim, a jednak obfitym w ból starciom, dał strajk pracowników kolei w ich miasteczku.

HISZPANIA STAŁA u progu wojny domowej, sytuacja była więc niepewna. Dlatego też, kiedy robotnicy wybiegli ze stacji i w pośpiechu udali się najpierw do siedziby burmistrza, a następnie do probostwa, wybuchło spore zamieszanie. Ludzie od dawna pałali żądzą zemsty i powszechna była wśród nich nienawiść. Wieści nadchodzące z Afryki porządnie nadwyrężyły nerwy tak jednej strony konfliktu jak i drugiej i to, co się wtedy wydarzyło porównać można do rozlania od dłuższego już czasu kipiącego wrzątku. Tamtego dnia strajkujący dowiedzieli się, że zbuntowani wrogowie republiki zbliżają się powoli do miasta i zanim zdecydowali się na ucieczkę, postanowili zostawić po sobie godziwą zapłatę. Następnego dnia wszyscy schronili się w górach, a w miasteczku pozostawili jedynie rodziny, domy i dwa ciała zwisające z krokwi obróconego w popiół kościoła: jedno z nich należało do burmistrza, a drugie do księdza.

Stryja Juliana.

Julian i cała rodzina na wszelki wypadek udali się na północ. Szli tak długo, aż dotarli do miasteczka podobnego do tego, które zmuszeni byli opuścić: do naszego. Pozostawili domostwa i nie wiedząc dokąd pójść, ruszyli powoli po torach, postępując zgodnie z radą, a raczej zaleceniem babki: "te tory na pewno nas dokądś doprowadzą".

Zatrzymali się w Izurkiz zapewne z powodu stacji, ponieważ pomimo natychmiastowego zakończenia robót i spowodowanego działaniami wojennymi przestoju, ojciec Juliana miał nadzieję znaleźć tu pracę, która pozwoliłaby mu na utrzymanie rodziny. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu, które nabył pracując na stacji rodzimego miasteczka, w końcu mu się to udało. Od samego początku żyli na uboczu, w spokoju i z dala od innych, tak jakby z trudnością przychodziło im – zapewne z powodu ciemnej cery – nawiązywanie stosunków z innymi mieszkańcami. Nie spotkali się nigdy przychylnością miejscowych, ani na początku, kiedy zostali sami z najstarszymi mieszkańcami, matkami i dziećmi, po tym, jak z powodu zagrożenia ze strony nacjonalistów większość pracowników stacji uciekła, ani wtedy, gdy strzały już ucichły i robotnicy – ci, z którymi władza postąpiła pobłażliwie – zaczęli powoli wracać do domów. I jak to w życiu bywa, początkowa niechęć z czasem przeradza się w nieufność.

A już w ogóle po wojnie, kiedy jeszcze jątrzą się świeże rany.

Rzeczywiście, Julian od samego początku był inny.

Dlatego stało się to, co się stało.

Z MIEJSCOWYCH chłopców ja przyjaźniłem się z nim najbardziej, o ile przyjaźnią nazwać można kilka krótkich pytań i odpowiedzi, które wymienialiśmy między sobą.

Zazwyczaj włączył się razem z nami, ale dla naszej paczki był nikim, głupkiem, na którego nikt nie zwracał uwagi, takim, którego zawsze stawia się na bramce podczas gry w piłkę i który szuka pozostałych podczas zabawy w chowanego.

Ale za to był silny. Nawet bardzo silny. Tak jak Alvaro.

Alvaro urodził się w miasteczku i tam też wychował. Wszędzie go było pełno, przemądrzał się na każdym kroku i chodził dumny jak paw. Kiedy był małym dzieckiem, takim, co to ledwo umie mówić, na okrągło płatał figle i wśród nas niewątpliwie wykazywał już zdolności przywódcze. Imponował nam. To on zawsze decydował o tym, co robić i dokąd iść, a my ustępowaliśmy jego zachciankom, bo był od nas silniejszy, bardziej zwinny, a przede wszystkim odważniejszy.

Jak wtedy, kiedy poszliśmy na morele.

TUŻ ZA PROBOSTWEM, obok kanału, do którego wpływała Rzeka, znajdował się duży ogród. Tamtego dnia, a było to na Świętego Fermina, żar lał się z nieba, a drzewa pełne były moreli; w dodatku znajdowały się one na wyciągnięcie ręki, ponieważ świętej pamięci Don Mariano –lekkopostrzelony ksiądz, którego mieliśmy przed wojną – godzinę wcześniej poszedł na stację nawracać grzeszników, tak jak to było w jego w zwyczaju. Nie nikt inny, tylko właśnie Alvaro wpadł na pomysł, żeby zamiast udać się nad kanał, pójść na morele do księdza; to również on odważył się sprowokować strzegącego ogród ogromnego psa, skacząc z jednego drzewa na drugie.

Miał ochotę na soczyste owoce i nie znalazł się nikt, kto zdołałby go przed tą wyprawą powstrzymać.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Przeskoczył z muru na najbliższe drzewo i do jego stóp przypadł natychmiast olbrzymi, ujadający wściekle brytan. My zaś ulokowaliśmy się po przeciwnej stronie ogrodu, w odpowiedniej odległości od psa i na murze okalającym probostwo czekaliśmy na polecenia od Alvaro. A on, na dole, spokojnie wkładał za pazuchę dorodne i słodkie morele, nie zważając zupełnie na starającego się go rozszarpać psa. Kiedy skończył, gwizdnął na znak, że możemy zacząć także i my. Wtedy Jose Luis zeskoczył na ziemię i zaczął pokrzykiwać i wymachiwać rękami na ujadającą bestię tak jak toreador na byka. Rozdrażniony pies przestał łupać na stopy Alvaro i rzucił się z pianą na pysku w stronę Jose Luisa. Podczas gdy ten ponownie wskakiwał na mur, a brytan ujadł szaleńczo pod naszymi stopami, Alvaro zeskoczył na ziemię z owocami za pazuchą i rzucił się biegiem na sąsiednie drzewo. Gdy pies prawie go doganiał, on siedział już bezpiecznie wśród górnych gałęzi, z dala od zagrożenia, i ponownie zrywał słodkie morele. Odciążyliśmy w ten sposób bodajże trzy czy cztery drzewa, a zjedliśmy kilka tuzinów owoców.

Taki właśnie był Alvaro.

Świętej pamięci Alvaro.

OPRÓCZ MOJEGO, wszyscy pozostali ojcowie chłopaków z paczki – ci, którzy nie zginęli na wojnie – pracowali na stacji. Postąpili oni zgodnie z obwieszczeniem burmistrza i zgłosili się do pracy, gdy tylko rozpoczęto roboty przy budowie kolei. W komunikacie burmistrz wymieniał korzyści płynące z nowych miejsc zatrudnienia po to, by miejscowa ludność zapomniała o niedolach i trudach związanych z pracą na roli i, jeszcze zanim do miasteczka dotrze fala poszukujących pracy imigrantów, przekwalifikowała się na pracowników kolei. My przyjechaliśmy nieco później, wtedy, gdy ojciec dowiedział się o posadzie lekarza. Odtąd był lekarzem na kolei, ale nigdy nie chodził na stację – chyba że miał miejsce jakiś wypadek. Wizyty, tak kolejarzy, jak i zwykłych mieszkańców, przyjmował w domu. Poza tym, i być może dlatego, że nie byłem dzieckiem kolejarza z krwi i kości, kiedy już trochę podrośliśmy i zmieniliśmy miejsce zabaw z placu na pobliski las nad rzeką oraz kanał, a przede wszystkim na okolice stacji, chłopacy z paczki zaczęli traktować mnie z coraz większym dystansem. W przeciwieństwie do mnie, oni to przywiązanie do stacji wysłali z mlekiem matki, i co za tym idzie, znali wszelkie okoliczne zakamarki lepiej ode mnie. Tamte zabawy były dla nas pierwszym kontaktem ze stacją i pociągiem; dla nas tak, ale nie dla Juliana.

Żaden pociąg nie miał dla niego tajemnic.

W tamtym okresie, kiedy stacja stała się naszym stałym miejscem wypadów, nowi pracownicy pojawiali się z rzadka; nieliczni, którzy przyjeżdżali, po prostu uciekali przed wojną. W każdym razie byli oni biedniejsi niż ci pierwsi.

Tak samo, jak ojciec Juliana.

W dzieciństwie paczki koleżeńskie są zazwyczaj dosyć szczelne i niełatwo się do nich dostać. Dzięki wykazanej odwadze i sile, któryś z jej członków zostaje przywódcą, i jeżeli nic specjalnego się nie wydarzy, zostaje nim tak długo, aż ją opuści.

Inaczej mówiąc, dopóki sam nie zrezygnuje.

Nasza grupa była dosyć liczna tak w czasie, jak i po wojnie. Podobnie jak w przypadku miasteczka, z którego pochodził ojciec Juliana, większość tutejszych kolejarzy również uciekła, gdy tylko wyczuła zagrożenie ze strony nacjonalistów. Opuścili rodziny, ale w odróżnieniu od tamtych, nie pozostawili po sobie żadnych trupów – zapewne dlatego, że wszyscy co do jednego mieli te same przekonania polityczne. Jednak zadali sobie trud – jak nam powiedział ojciec Jose Luisa, świadek tamtych wydarzeń – aby puścić kościół z dymem. Po wojnie pierwszą rzeczą, jaką zrobili zwycięzcy, było odbudowanie kościoła, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stał poprzednio. Po zwycięstwie nacjonalistów nieliczni, mieniący się niegdyś republikanami, powrócili do domostw i bezzwłocznie zaczęli wysługiwać się nowej władzy. Do naszej paczki należeli synowie tak zwyciężonych jak i zwycięzców: czerwoni republikanie i niebiescy nacjonaści; do tej mieszanki należał jeszcze jeden kolor, noszący cechy obu poprzednich, ale zdecydowanie niższy rangą i bardziej wobec nich uległy: brunatny.

Inaczej mówiąc, kolor cery Juliana.

JULIAN po raz pierwszy pojawił się w szkole przyprowadzony za rękę przez nowego nauczyciela, następcę zaginionego w wojennej zawierusze Don José. Ten, po zwyczajowej modlitwie, przedstawił nam nowoprzybyłego: "Julian".

Tylko tyle: "Julian". Odtąd traktował go jak każdego z nas, nie okazywał mu ani odrobiny zainteresowania, należytej każdemu nowemu uczniowi. Wtedy, na początku i później, przez cały czas, jaki spędzał z nami, Julian nie powiedział ani słowa, nie uronił ani jednej łzy. Był zupełnym przeciwieństwem tych dzieci, które zostały kompletnie oderwane od swego środowiska i zmuszone do tego, żeby dostosować się do całkiem nowej, obcej sytuacji. Wszystkie początkowe dni spędził w milczeniu, zamknięty w sobie, tak jakby szukał wsparcia w tych trudnych chwilach nie na zewnątrz, ale wewnątrz siebie. Z wyglądu również wydawał się wstydlivy i słabowity, ubogi w słowa i gesty; już od pierwszego dnia pozostali uczniowie wyrobili sobie o nim takie właśnie zdanie. Jeszcze tego samego ranka, kiedy siedział z pochyloną głową na krześle, które mu przypadło, któryś z nas, w anonimacie zgiełku rzucił bez namysłu "cygan-mygan".

Alvaro.

To początkowe, ciągłe milczenie przerodziło się powoli w nieśmiałą aktywność. Już nie patrzył wyprostowany na nauczyciela, ale, nie zwracając uwagi na lekcję, nieustannie rysował linie na pogniecionej kartce rozłożonej na ławce, zupełnie pochłonięty zabawą, której zasady znał tylko on. A polegała ona na tym, że, podtrzymywał ołówek koniuszkami palców, stawiał go prosto na kartce i popychając przesuwiał; a ten upadając kreślił linię. Pewnego razu, gdy był zajęty tą zabawą bez reszty, podszedłem do niego z ciekawością i dostrzegłem spoza pleców coś na kształt torów kolejowych, pełnych zakrętów, a w środku nich mnóstwo kresiek, jedna za drugą; tam gdzie jedna się kończyła, zaczynała się następna. Dopiero po kilku dniach zobaczyłem dokąd one prowadziły: do Solabar.

Do miasteczka, z którego pochodził.

MÓWI SIĘ, że każde milczenie kryje w sobie jakąś tajemnicę i podobnie jak pycha może być oznaką słabości, tak milczenie może oznaczać siłę i hart ducha – bo tylko ten, który nie musi się niczym przed nikim wykazać, jest pewien własnych możliwości. Każdy pyszałek jest tego świadomy. Dlatego też powinien wiedzieć, czy za tą zasłoną pokory i nieufności stoi słabość czy raczej siła, a jeżeli nie wie, to powinien dowiedzieć się przy pomocy sztuczki albo podstępu.

Alvaro lubił się zakładać.

Julian był silny. Bardzo silny. I cały czas rysował tory.

NIE PAMIĘTAM dokładnie kiedy został członkiem naszej paczki, bo te rzeczy zazwyczaj przychodzą naturalnie, z biegiem wydarzeń. Codzienne przebywanie w czyimś towarzystwie powoduje, że stajemy się przyjaciółmi tych, czy innych osób. Przyjaciół nie zdobywa się za pomocą paktów. Zapadł mi jednak w pamięć dzień, w którym Julian poszedł z nami po raz pierwszy. Kiedy wyszliśmy ze szkoły i, jak każdego popołudnia, pobiegliśmy na stację, nikt z nas nie zwrócił uwagi na jego bezgłośną, milczącą obecność.

Może dlatego, że nie cieszyłem się wielkim poważaniem w paczce, a może dlatego, że jako syn lekarza nie przejawiałem specjalnego zainteresowania gonitwami wokół stacji; rzecz w tym, że zanim dotarliśmy do znajdującego się przy torach baraku, oddaliłem się od chłopaków, podszedłem do Juliana, żeby porozmawiać i zapytałem o to, o co zwykle się pytało w takich sytuacjach. W międzyczasie pozostali zajęci byli tłuczeniem szyb w baraku i kontynuowali w ten sposób niejako zabawę z poprzedniego dnia. On nawet na mnie nie spojrzał, zupełnie pochłonięty przyglądaniem się temu, jak chłopaki wybijają szyby. Na moje głupie pytanie: ”idziesz nami?” odpowiedział innym pytaniem:

—A nie doszliśmy już przypadkiem na miejsce?

Julian wiedział zapewne, że tory kolejowe służyły nam za miejsce zabaw, bo zazwyczaj dzieje się tak we wszystkich miasteczkach, które posiadają jakąś stację. Pewnie już od lat robił u siebie rzeczy, które nam wydawały się zupełnie nowe; nieraz chodził tłuc szyby w oknach opuszczonych baraków przy stacji, kładł na szyny drobne monety, czekał aż przejedzie po nich pociąg i zamieni je w cienkie płatki, delikatne jak hostie w kościele.

Z całą pewnością można stwierdzić, że żaden pociąg nie miał dla niego tajemnic.

Staliśmy tak przez chwilę, nie odzywając się do siebie ani słowem. Nie wydawało mi się, żeby mnie potrzebował do tego, aby zapoznać go z resztą chłopaków tłukących szyby; nie przejawiał też najmniejszej ochoty, żeby się do nich przyłączyć. Owszem, stał obok, ale tylko biernie się przyglądał, nie wykonując przy tym najmniejszego ruchu.

Nie poruszył się nawet wtedy, gdy trafił go w głowę kamień.

Rzucił go Alvaro.

A Julian nie był z porcelany.

Doskonale pamiętam ten dzień. Nie ujrzałem ani jednej łzy w jego oczach, gdy krew popłynęła mu po czole, a następnie zalała całą twarz. Przez chwilę pozostał nieruchomo w miejscu przyglądając się nam wszystkim, i gdy chłopacy zaczęli go wyzywać od cyganów-myganów, ruszył powoli w drogę powrotną, rzuciwszy mi ostatnie, przeciągłe spojrzenie spod zamglonych oczu. Alvaro i reszta potraktowali to odejście jako ucieczkę, sądzili pewnie, że stawi im czoło. Odtąd nie zważali na nic i naigrawali się z niego na każdym kroku. Nie mieli racji uważając, że ten, kto nie okazuje złości lub nie walczy, jest zwykłym tchórzem.

Bo Julian był bardzo silny. Niesamowicie.

Świętej pamięci Julian.

Już następnego dnia, w przerwie między lekcjami, grał z nami w piłkę z głową owiniętą bandażem. Dzieci mają to do siebie, że kierują się zasadami zupełnie niepodobnymi do tych, którymi rządzi się dorośli. Dlatego nikt nie zdziwił się kiedy Alvaro, szukając bramkarza do swojej drużyny, zaczął pokrzykiwać "Mygan, Mygan!"; chciał pewnie w ten sposób przypomnieć Julianowi to, co wydarzyło się poprzedniego dnia. "Ty tam, stań na bramce!" – powiedział, "ale do obrony używaj rąk a nie głowy, bo głowa jest do strzelania goli...! Kiedy Julian stanął pomiędzy dwoma drzewami klonu, zdałem sobie sprawę, że jego gładka i pozbawiona wyrazu twarz, wyrażała dokładnie to samo, co dzień wcześniej. Przypominał krzepkie, zdrowe drzewo, takie samo jak te, które znajdowały się po jego prawej i lewej stronie.

Ale od środka zaczęły go już toczyć korniki.

ODTĄD WŁÓCZYŁ się za nami tak w szkole, jak i poza nią. Chociaż bardzo się starałem, udawało mi się jedynie wydobywać z niego pojedyncze odpowiedzi; tylko raz przysłała mu ochota na pogawędkę. Wtedy, kiedy przypominał sobie o rodzinnym miasteczku. Wówczas dopiero dotarło do mnie, że w jego sercu nie było miejsca na teraźniejszość, ani tym bardziej na przeszłość.

NAUCZYCIEL MÓWIŁ na temat geometrii. Narysował na tablicy dwie równoległe linie i wskazując je długą linijką, charakterystycznym głosem, podobnym do ujadania psa, powiedział: "dwie linie nazywamy równoległymi wtedy i tylko wtedy, jeżeli nigdy się one nie stykają". Ja natychmiast przypominałem sobie o zeszycie Juliana, wypełnionym takimi liniami, i spojrzałem na niego. On też, co było do niego zupełnie niepodobne, wykazywał zainteresowanie tematem.

W tym samym momencie usłyszeliśmy gwizd jakiegoś pociągu ekspresowego; wszyscy pomyśleliśmy, że to ekspres do Marbony, a nauczyciel, jakby odgadując nasze myśli, podjął wcześniejszy wykład:

—Wyobraźcie sobie, że te dwie linie to tory. Tak jak mówiłem, linie te nigdy się nie zetkną.

Przyjrzałem się Julianowi. Sine oko, pamiątka po kamieniu, czyniło spojrzenie, jakie skierował na nauczyciela, jeszcze bardziej przenikliwym. Słuchał uważnie słów i byłem przekonany o tym, że wkrótce także on coś powie.

—Proszę pana...— odezwał się nagle, nie zwracając uwagi na siłę zwróconych w jego stronę spojrzeń.

—...jeżeli chodzi o te tory, to jeżeli okrążą one kulę ziemską i powrócą do punktu wyjścia, to jednak mogą się zetknąć. – Nauczyciel spoglądał na niego z linijką w dłoni. Tak mi przynajmniej powiedziała babcia, kiedy u nas w miasteczku zaczęli budować sieć kolejową. Mówiła, że tory, które widać na horyzoncie, kiedy już połączą wszystkie miejsca na świecie, ponownie wrócą do naszego miasteczka.

Nagły wybuch śmiechu przerwał ciszę. To Alvaro. Nauczyciel stał ciągle nieruchomo nie wiedząc jak zareagować, w dłoni ścisnął długą linijkę. A mi przed oczami stanął obraz rodziny Juliana, uciekającej ze Solabar w strachu przed republikanami: nie wiedzą w którą stronę się udać, i jeden za drugim niktą w oddali na torach, pełni nadziei, że tak jak przed chwilą powiedział Julian, idąc i idąc, w końcu wrócą ponownie do rodzinnego miasteczka.

—Nie pleć bzdur, bardzo proszę! – uciął cierpko nauczyciel, gromkim głosem zagłuszając śmiech Alvaro, po czym dwukrotnie uderzył porządnie linijką w blat starego biurka. W jednej chwili harmider ustał i głośny śmiech przemienił się we wstydlive uśmieszki, Julian natomiast ponownie usiadł i zaczął rysować ołówkiem kreski.

Był kompletnie przygnębiony.

To właśnie wtedy wydarzył się incydent z monetą.

W TAMTO POŁUDNIE poszliśmy na torowisko – w ten sposób spędzaliśmy wagary, na które chodziliśmy częściej, niż rodzicom się wydawało. Podczas gdy przed nami jedni uganiaли się szaleńczo za drugimi grając w berka, Julian i ja szliśmy powoli brzegiem pola w promieniach popołudniowego słońca. Oprócz naszych głosów, dobiegał nas jedynie odgłos kuropatw. Na czole Juliana widać było jeszcze ślad siniaka, pomimo, że bandaż zdjęto mu chyba tydzień wcześniej. W kieszeniach nieśliśmy drobne monety, mieliśmy zamiar kłaść je na tory i patrzeć, jak przejeżdża po nich pociąg. Dotarliśmy na miejsce nieco później niż pozostali; Alvaro i Jose Luis stali już pochyleni nad torami; spoceni, wpatrywali się w monetę, którą każdy z nich położył na szynie. Ekspres właśnie nadjeżdżał.

Do Rutera.

Gdy przejeżdżał przez Rzekę, usłyszeliśmy przeciągły gwizd i poczuliśmy drżenie żelaznej konstrukcji mostu. Niemal jednocześnie dostrzegliśmy szarą smugę dymu wzbijającą się w niebo spoza wierzchołków drzew. Pociąg wyłonił się z zakrętu za laskiem nad rzeką i, będąc już w zasięgu naszego wzroku, znacznie zwolnił, ale prędkość, z jaką się zbliżał, i tak była zawrotna. Wyłonił się zza lasu i ponownie przyspieszył, rzucając się na nas niczym wściekły pies. Alvaro i Jose Luis stali przy torach i wpatrywali się w monety. Huk powodowany stukotem kół przeplatał się z nieustannym gwizdem lokomotywy. Ekspres przeciął niespodziewanie południową ciszę niczym grom z jasnego nieba. Ziemia zadrżała, a my, wszyscy, co do jednego, zakryliśmy uszy dłońmi. Widziałem jak Alvaro i Jose Luis stoją niecały metr od torów i, kryjąc uszy w dłoniach, krzydzeli przeraźliwie. Odwróciłem głowę i zobaczyłem też Juliana, stał w milczeniu, zupełnie blisko mnie. W przeciwieństwie do pozostałych trzymał ręce w kieszeniach i zamglonym wzrokiem wpatrywał się uporczywie w jeden punkt: w Alvaro. W pewnej chwili wyjął rękę z kieszeni i zauważyłem, że zabawia się dużą dziesięciocentymówką. Sporą, dziesięciocentymową monetą, rozgrzaną i mokrą od potu w kieszeni.

Miał przejechać jeszcze jeden ekspres.

Do Berosa.

Gdy tylko przejechał ostatni wagon, Jose Luis i Alvaro podnieśli to, co pozostało z monet i śmiejąc się głośno podeszli do nas, żeby je pokazać. Julian już był obok nich, jeszcze milczał, ale kiedy przemówił, jego głos wywołał wśród nas taki sam efekt jak gwizd pociągu, który dopiero co przejechał. Był to głos silny, dumny, a w słowach nie było widać wstydu ani strachu.

—Graliście kiedyś w odbijaną monetę? – skorzystał z chwilowej ciszy i rzucił pytanie w kierunku roześmianych chłopaków, przede wszystkim w kierunku Alvaro. Oni zaś zdziwili się słysząc ponownie słowa Juliana, umilkli na chwilę, spojrzeli po sobie, a Alvaro, już spieszył z odpowiedzią, jak zwykle głupią:

—No... proszę, Mygan, to ty nawet masz język!

Następnie spojrział na monetę, którą Julian obracał w palcach i dodał:

—Tylko nie mów, że chcesz się o tę monetę założyć.

Jednak na wszelki wypadek nie patrzył mu prosto w oczy.

”Chcę” padła sucha odpowiedź Juliana. Następnie gładko przeszedł do wyjaśniania szczegółów zakładu uśmiechniętemu Alvaro, który jeszcze nie zdążył wyjść ze zdziwienia.

—Jest to mniej więcej taka sama zabawa, jak ta przed chwilą, z tą tylko różnicą, że zamiast piątków użyjemy monet dziesięciocentymowych...

Na początku pomysł z dziesięciocentówkami nie spodobał się Alvaro, ponieważ uważał, że to zbyt dużo, by tracić je w tak głupi sposób. Poza tym, jeżeli zabawa miała polegać na tym samym, co przed chwilą, nie widział w niej żadnego wyzwania. Z urywanych słów Juliana dowiedział się reszty:

—... ale monety należy odbić. O ile to możliwe – kontynuował, pochylając się w stronę torów. Położył monetę na jeszcze cieplej szynie.

—Kto pierwszy podniesie monetę, zanim przejedzie po niej pociąg, ten przegrywa. A pieniądź musi oddać oczywiście temu drugiemu.

—A jak ten drugi też nie podniesie monety? – zapytał Alvaro z powątpiewaniem.

—To przegra zakład i w dodatku będzie musiał dać zwycięzcy jeszcze jedną monetę, za to, że nie był wystarczająco szybki.

—Różnica pomiędzy zwycięstwem a porażką jest więc niewielka – rzucił Alvaro ściskając już dziesięciocentymówkę w dłoni.

—Minimalna.

Alvaro pochylił się naprzeciw Juliana, położył pieniądź na drugim torze i, pewny swego, wpatrywał się jednocześnie w monetę przeciwnika. Miał bzika na punkcie zakładów, a w dodatku przyzwyczajony był do tego, że to zawsze on wygrywał.

Chyba był zbyt przyzwyczajony.

Podczas gdy obaj wpatrywali się każdy w swoją monetę, usłyszeliśmy zbliżający się pociąg. Tak samo jak przed chwilą, do naszych uszu dotarło najpierw drżenie żelaznej struktury mostu, a następnie, za lasem spostrzegliśmy szarawy dym wzbijający się w niebo i usłyszeliśmy jednocześnie ostry gwizd parowozu. Po obu stronach nasypu, spomiędzy łąnów zboża stado kuropatw wzbilo się nagle w powietrze.

Pociąg zmierzał w naszą stronę z ogromną prędkością.

Pomimo, że był do mnie odwrócony plecami, z łatwością mogłem sobie wyobrazić chłodną, pozbawioną wyrazu twarz Juliana. Za to Alvaro zwrócony był w naszą stronę. Nie spuszczał z oczu swojej monety. Gruba kropla potu potoczyła się po jego skroni, oznaka upału, ale przede wszystkim napięcia. Pociąg był już blisko. Alvaro śledził w napięciu kościstą, brązową dłoń Juliana, czekając na szybki ruch jego ręki. Był przekonany o jego porażce. Ale Julian tkwił nieruchomo w miejscu, żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Wpatrywał się w Alvaro ze zdecydowaniem, jak ktoś, kto jest pewny zwycięstwa. Pociąg był tuż, tuż.



Ziemia pod nami zadrżała.

Gdy pociąg znajdował się jakieś dziesięć metrów od nas, Alvaro pierwszy wyciągnął rękę, a następnie zerknął na Juliana. W ciągu ostatniej pół sekundy rozkoszował się już smakiem zwycięstwa. Ten zaś nie wykonał najmniejszego ruchu.

Gorzki był to smak zwycięstwa.

Julian wydobył swoją monetę niemalże spod kół pędzącego pociągu. Ekspres niespodziewanie rozdzielił obu i chociaż sam przejazd trwał dosyć długo, jeszcze więcej czasu minęło, zanim ziemia przestała drżeć a gwizd lokomotywy zniknął w oddali. Potem wszystko ucichło, a Alvaro i Julian ponownie stali twarzą w twarz. Przegrany i zwycięzca.

Przegrany, ale gadatliwy jak nigdy.

—Ty bałwanie! Mogłeś stracić palce, idioto!

Julian nie odezwał się ani słowem. Wyciągnął rękę w stronę Alvaro, domagając się wygranej. Nikt z nas nie odważył się zabrać głosu. Pomimo porażki, Alvaro cały czas był naszym przywódcą, bo Julian, jeżeli nawet wygrał zakład, zupełnie się do tego nie nadawał.

Bo był cichy i zamknięty w sobie. Bardzo.

—Masz, głupku!— powiedział Alvaro podając mu niedbale monetę. Chciał okazać dumę, ale spomiędzy słów przebijała nuta żalu i goryczy, z pewnością ochota na rewanz. My zaś, pozostali, po raz pierwszy ujrzelśmy go pokonanego i niewątpliwie było to dla niego nie do zniesienia w ciągu następnych dni.

Do zguby doprowadził go niewyparzony język.

TAK JAK OWOCE POTRZEBUJĄ czasu na to, by przemienić się w soczyste i słodkie, tak i prawdziwa tragedia też potrzebuje czasu na to, żeby dojrzeć. To co wydarzyło się pomiędzy Julianem i Alvaro przypominało garnek wrzącego mleka; takiego, co to, gdy już raz się zagotuje, długo się rozlewa. Rzeczą oczywistą było, że Alvaro nie zapomniał Julianowi tego co wydarzyło się tamtego dnia, i niecierpliwie czekał na okazję, która pozwoliła by mu przywrócić dawny porządek, a przede wszystkim odzyskać wcześniejszą wielkość. Dla nas pozostawał on ciągle przywódcą, ale milcząca obecność Juliana za każdym razem przypominała nam epizod z monetą. Nawet fakt, że Julian, tak jak dawniej, ciągle stał na bramce podczas gry w piłkę i gonił pozostałych, gdy bawiliśmy się w berka, nie był w stanie tego zmienić. O ile Alvaro czerpał siłę z radości zwyciężania i ponizania innych, o tyle Julianowi cierpienie dodawało męstwa i im bardziej beznadziejna była jego sytuacja, tym stawał się odporniejszy.

Rzeczywiście, Julian sporo się nacierpiał. Pomimo tego, że zaraz na początku, kiedy przyjechał, wszyscy widzieli w jego skrytości i zamkniętości jedynie słabość, to od czasu zakładu z Alvaro, dostrzegli w nim też odwagę i siłę. Jego charakter posiadał też jeszcze jedną cechę, ukrytą, która, jeżeli ją sprowokować, mogła stać się bardzo niebezpieczna: rozpacz.

Przypominała tłący się płomień, który wcześniej, czy później stanie się przyczyną pożaru.

Ten płomień podtrzymywały wspomnienia. Wspomnienia przeszłości, która już nie wróci, paliły go od środka. Była to gorzka nostalgia, a przekonałem się o tym, gdy przez Izurkiz przejechał po raz pierwszy pociąg pocztowy.

Wcześniej wspomniałem już, że żaden pociąg nie miał dla Juliana tajemnic. W rodzinnym miasteczku zobaczył znacznie więcej rzeczy, niż my i, chociaż rzadko, to czasami tę wiedzę demonstrował.

Wspomnienia przywoływały smutek. I powodowały rozpacz.

PEWNEGO GORĄCEGO popołudnia bawiliśmy się w lasku obok torowiska w grę *”jaki to pociąg”*; w ten sposób chcieliśmy urozmaicić sobie długie, nudne, poobiednie godziny. Stamtąd zazwyczaj wsłuchiwaliliśmy się w drzenie mostu i gwizd zmierzającego w naszą stronę pociągu. Te dwie informacje, a czasami jeszcze odcień szarawego dymu, wystarczały nam, żeby odgadnąć jaki to pociąg, zanim ten pojawiał się w zasięgu wzroku – niekiedy też zakładaliśmy się o pięć centymów. Jako że trasy pociągów są praktycznie niezmiennie, dość dobrze znaleźliśmy godziny przejazdów ekspresów i doskonale wiedzieliśmy o jakiej porze i dokąd jechał każdy z nich.

Dopóki nie pojawiał się jakiś nowy.

Alvaro od czasu do czasu popisywał się przed nami odwagą i dzięki temu, powoli odzyskiwał reputację, którą utracił podczas ostatniego zakładu o monetę. Nie cieszył się już takim posłuchem wśród nas, jak niegdyś, ponieważ milcząca obecność Juliana podczas wspólnych zabaw nieustannie przypominała mu o niedawnej porażce. Julian musiał się sporo nacierpieć z tego powodu w dniach, które poprzedziły tragedię. Alvaro kpił i żartował z niego na każdym kroku, a my wpatrywaliśmy się ze zdziwieniem jak ten znosił wszystkie te ataki w milczeniu. Wydawało nam się, że odwaga, którą niegdyś okazał, drzemie gdzieś wewnątrz, ukryta głęboko razem z głosem.

Dochodziła piąta po południu, gdy usłyszeliśmy pojękiwanie mostu i do naszych uszu dobiegł zza lasu odgłos zbliżającego się pociągu. To *”ten do Haibate”*, rzucił od niechcenia Alvaro, obracając w ustach kawałek słodkiego korzenia lukrecji. Niewątpliwie, o tej właśnie porze przejeżdżał pociąg do Haibate i dlatego nikt z nas nawet nie zareagował na ten komentarz.

—To nie ten do Haibate...

Dokładnie te słowa padły z ust Juliana. Nawet wiatr wtedy ustał, jakby i on czekał na atak ze strony Alvaro.

Wszystkim przypomniał się poprzedni zakład o dziesięć centymów.

—Co ty bredzisz, głupku? – stanął okoniem Alvaro. Z tonu jego słów była zrozumiałość i pewność siebie, doskonale bowiem wiedział, że o tej godzinie przejeżdżał ekspres do Haibate—. Załóż się, jeżeli masz dość odwagi! – dodał następnie, przeświadczony, jak zwykle, o swojej racji.

Żał mi się zrobiło Juliana. Bo był to z pewnością ekspres do Haibate.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że dotychczasowy rozkład jazdy pociągów uległ zmianie.

Że nagle coś się urwało, skończyło.

Codzienna rutyna powoduje, że nabieramy zbytnej pewności siebie. Dlatego Alvaro, przekonany o swej nieomyślności, zebrał się na odwagę i powiedział, że jest gotów dać głowę, że ten pędzący pociąg, to ekspres do Haibate – ten, który przejeżdżał tamtędy codziennie o tej samej porze. Może nie głowę, ale nieszczęśnik był gotów postawić dziesięć centymów – myślał pewnie, że to pomoże mu odzyskać raz na zawsze honor, nieco nadwerężony przez ostatni, przegrany zakład.

Trzeba jednak wiedzieć, że, gdy coś niespodziewanie się urywa i kończy, wraz z rutyną, tak potrzebną w życiu, traci się także pewność siebie, wiarę we własne siły i panowanie nad sytuacją.

Oraz zdrowy rozsądek.

—I CO, MOWĘ CI ODEBRAŁO, tchórze? – rzucił Alvaro, starając się wyprowadzić Juliana z równowagi.

—To jest pociąg pocztowy, durniu – wyszeptał Julian nawet nie podnosząc głosu. Z wyrazem znudzenia na twarzy, rzucał na tory kamyki, które trzymał w dłoni. Myślę, że Alvaro bardziej poczuł się dotknięty zupełnym brakiem zainteresowania ze strony Juliana, niż samą porażką, a w dodatku ten nie przyjął proponowanego zakładu. Wystarczyło mu zapewne wystawić Alvaro na pośmiewisko.

Bo Julian czasami bywał okrutny, i to nawet bardzo. Jestem przekonany, że już od dawna powziął decyzję o podróży, którą zamierzał wkrótce odbyć, a także o tym, że ktoś mu będzie w niej towarzyszyć.

Alvaro.

Tamtego popołudnia, po raz pierwszy na twarzy Juliana malowało się przygnębienie, skrzętnie skrywane za zasłoną nieufności. Zapewne ten pociąg, dla nas rzecz zupełnie nowa, dla niego był gorzkim wspomnieniem i ta gorycz pobudziła go do tego, żeby sprowokować Alvaro.

Nostalgia zmieszana z żalem.

I ofiara: Alvaro. Bo tamten pociąg był bez wątpienia ekspresem pocztowym, który z dalekiego południa po raz pierwszy przyjeżdżał do naszego miasteczka. Dokładnie z tego samego miejsca, z którego przyszła do nas najpierw wojna, a potem Julian. Huk i stukot wywołany przez obcy pociąg zburzyły spowodowaną napięciem ciszę. Pociąg był koloru kremowego, na boku widać było linię i przed oczami przemknęła nam ogromna, czarna lokomotywa ciągnąca za sobą siedem czy osiem wagonów.

PO TYM WSZYSTKIM, gdy ruszyliśmy za wściekłym Alvaro w drogę do domu, Julian nie poszedł za nami. Ja natomiast, zanim podążyłem za pozostałymi, przyjrzałem mu się przez chwilę. Nie spuszczał pociągu z oczu aż do momentu, kiedy ten, nie przestając syczeć parą niczym dyszący ze zmęczenia wół, wjechał na stację i zatrzymał się przy peronie. Następnie Julian udał się powoli w stronę stacji po jeszcze ciepłych torach, i pochylony, powłóczył nogami po kamiennym torowisku.

Później, już po wszystkim, dowiedzieliśmy się, że pociąg pocztowy nie przywiózł tego, na co czekał z taką niecierpliwością.

Nie otrzymał więc żadnych wieści z przeszłości, ale za to przypomniał sobie o niej. Była ona brudna i nigdy nie miała już powrócić. Dlatego stało się, to co się stało.

Nienawiść Alvaro i rozpacz Juliana. Dwa tory, które doprowadziły do tragedii.

A następnego dnia i codziennie później, pociąg pocztowy.

O piątej po południu.

—Jutro pokażę temu durniowi jak wygląda prawdziwy zakład – mówił Alvaro pełen wściekłości, kiedy jeden za drugim wchodziliśmy do miasteczka od skąpanej w słońcu strony przedmieścia. Biegł przed nami, raz po raz potykając się o przydrożne kamyki.

—Jutro, właśnie tak, jutro zobaczy ten głupi pociąg z bliska! – były to ostatnie słowa, jakie padły z jego ust zanim zniknął w kuchni; nie wyszedł już z domu ani wieczorem ani następnego dnia rano. Przygotowywał zemstę. Biedny Alvaro.

JULIANA TEŻ UJRZELIŚMY dopiero następnego dnia po południu, kiedy, w drodze na nasyp za lasem, Alvaro zatrzymał się pod jego oknem i krzyknął: ”wyłaż Mygan, mamy sprawę do załatwienia!”. Wyglądało na to, że już na nas czekał; gdy wzburzony Alvaro umilkł, ogromne drzwi poruszyły się i Julian stanął w progu, jak zwykle w milczeniu, z zamglonymi oczami, a jego dziwna twarz wyrażała coś, co mogło być tak oznaką szczęścia jak i smutku.

Tamtego popołudnia słońce paliło niemiłosiernie. Alvaro zmierzał w stronę lasu z takim samym pośpiechem, z jakim dzień wcześniej wracał stamtąd do domu. Pot lał się z niego strumieniami i widać było, że koniecznie chce ugasić ogień zemsty, który trawił go od środka. Julian szedł na drugim końcu grupy, trzymał ręce w kieszeni i nie było po nim widać, żeby się czymkolwiek przejmował. Można było w nim jedynie dostrzec zwykłą, powierzchowną oznakę słabości, którą o kazywał od samego początku, jak tylko zjawił się w miasteczku. Szedł pewny siebie, jak gdyby wiedziony instynktem co do raz obranego kierunku.

Jak ptaki, które migrują do ciepłych krajów.

Była chyba za pięć piąta gdy dotarliśmy do torów, które zbiegały się przy polu pszenicy i topolach. Słońce prażyło niemiłosiernie już od południa i rozgrzało do czerwoności szyny i okoliczne kamyki. Kiedy Julian do nas dołączył, odwrócił się do nas plecami i patrzył na południe, skąd wkrótce miał nadjechać pociąg pocztowy. Głuchy na wszelkie prowokacje ze strony Alvaro.

Julian budził w nas strach.

Alvaro wydawał się przestraszony.

—Dziś, Mygan, nie zabrałem ze sobą żadnej monety – mówił niespokojnie. Zlany potem, niepotrzebnie udawał odważnego.

—Podejdź no, to pokażę ci nową zabawę.

Usiadł na jednej szynie i skinął na Juliana, żeby ten zrobił to samo na drugiej. Na moim zegarku do piątej brakowało trzech minut.

Podczas gdy Alvaro coś tam jeszcze mówił, Julian pobiegł wzrokiem w stronę wierzchołków drzew na skraju lasu. Czubki topól niemalże sięgały nieba i kołysały się łagodnie na południowym wietrze, a od czasu do czasu dostrzec można było ptaki przeskakujące nieustannie z gałęzi na gałąź. Wkrótce wszystko nagle ucichło, nawet szczebiot szczygła i szelest liści drzew, a wszyscy obecni, za wyjątkiem Alvaro, wypatrywali niecierpliwie mającego nadjechać wkrótce ekspresu.

—Co, nie pali cię może tyłek?

Na moim zegarku była za niecałą minutę piąta.

—Zostaw to i chodźmy do domu! – rzuciłem zdesperowany, błagalnym głosem w stronę tego, który zupełnie nie miał ochoty na tę zabawę, a zgrywał odważnego.

W stronę Alvaro.

Świętej pamięci Alvaro.

Nieobecność Juliana wydawała się widoczna, nie odezwał się ani słowem, nie wykonał żadnego ruchu. Zachowywał się jak ktoś, kto sam dokonał stowownego wyboru, nie zaś jak ofiara losu czy też przeznaczenia. Wydawał się kimś, kto, świadomy od samego początku jak potoczą się sprawy, pewnie i ze spokojem zmierza do samego końca. I to czyniło go jeszcze bardziej przerażającym.

Bo Julian był silny. Bardzo silny.

Świętej pamięci Julian.

Usłyszeliśmy drżenie mostu za lasem.

—Przestańcie do cholery! – krzyknąłem ponownie. Ja, który nie miałem w paczce nic do powiedzenia.

Spoza topól buchnął komin dymu i zbliżał się w naszą stronę w zastraszającym tempie. Szyny wibrowały w powietrzu. Szeroko otwarte oczy Alvaro szukały wzroku Juliana, ale on już od dawna nie dawał oznak życia. Był pustym ciałem pozbawionym świadomości. Jakby był z metalu.

Pociąg wypadł z zakrętu i zmierzał w stronę chłopców, przeciągle gwizdząc. Alvaro spoglądał w naszą stronę, jakby czegoś się po nas spodziewał – poprzez to krótkie spojrzenie chciał zapewne wyjaśnić nam dlaczego siedzi na torach.

Huk zbliżającego się pociągu spowodował, że z pola pszenicy znajdującego się tuż obok wzbilo się w powietrze stado kuropatw.

Ponownie usłyszeliśmy gwizd parowozu, tuż przy nas.

I drżenie ziemi.

Chłopacy, przejęci grozą, nie czekając na nadjeżdżający sznur wagonów z krzykiem odskoczyli od nasypu. Ta chwila, w promieniach palącego słońca, wydała mi się nieskończenie długa. Wydawało się, że te przeklęte wagony ciągną się w nieskończoność, poza pola, aż na południe, skąd jechały. Zobaczyłem jak ostatni wagon oddalał się w stronę stacji niczym złodziej, który właśnie coś ukradł. Tuż za nim ciągnął się po torach i pobliskich kamieniach długi ślad krwi.

O ILE ZNIKNIĘCIE JULIANA mógłbym porównać do wygaśnięcia spadającej gwiazdy, o tyle nagły brak Alvaro przez długi czas był dla mnie nie do zniesienia. Tak jakby nagle zgasło dla mnie słońce. I to nie dlatego, że potrzebowałem jego obecności, ale dlatego, że byłem do niej przyzwyczajony. My, ludzie, w miarę upływu czasu przyzwyczajamy się do rzeczy realnych i nie zwracamy uwagi na to, czy są one dobre czy złe.

Rutyna zawsze pomaga. I daje schronienie.

Albo jest pretekstem do tego, żeby nic nie zmieniać, pozostawić tak jak było.

Ale, czyż każdy koniec nie jest jednocześnie czegoś początkiem? Wtedy, w promieniach słońca, na pokrytej krwią ziemi także tamten ekspres zapoczątkował coś nowego.

Tamte powojenne dni były dla mnie naprawdę trudne. Bardzo trudne, bo przypominały wypełnione wspomnieniami pociągi.